

Wojciech Gołabowski

Kwestia bezruchu

- Pamiętajcie: możecie stąd wyjść dopiero po trzech zdrowaśkach - ostrzegł jednooki blondyn. - Zobaczymy, co z was za tropiciele - dodał kpiąco.

- A my się tymczasem pobawimy z waszym hersztem - zarechotał ten z biegnącą przez połowę twarzy szramą.

Wyszli z komnaty, a my staliśmy jak osły, nie wiedząc, co teraz czynić. Mieli poniekąd rację - bez Suzanny byliśmy jak stado baranów, garstka wyrostków szukających swej Wielkiej Przygody. A znaleźliśmy ją dopiero od kilku dni, no, jedynie Haki trochę dłużej. Na niego też spojrzeliśmy z nadzieją.

Haki stał w kącie. Zamknięte oczy nie dawały nam żadnych wskazówek. Ktoś z nas głośno zaczął odmawiać modlitwę. Haki skrzywił się i machnął ręką, nakazując ciszę. Zrozumieliśmy, że nasłuchuje.

Po chwili, podniósłszy pęk dzid, bez słowa wyszedł z izby.

- Miały być trzy... - ktoś bąknął bez przekonania. Nikt nie skomentował.

Wyszliśmy z karczmy w chwili, gdy trzy konie znikwały w otaczającej nas mgle. Wyraźnie widzieliśmy związaną Suzannę, bezradnie przytroczoną do luzaka.

- Nie mamy koni - padło cichym głosem.

Haki przeszedł kilkanaście kroków, machnięciem ręki nakazując nam zostać w miejscu. Baliśmy się, że pójdzie sam, ale on, ledwie widoczny we mgle, usiadł.

Nasłuchiwał.

Wróciliśmy tedy po resztę rzeczy, tak naszych, jak i Suzanny, a gdy ponownie stanęliśmy u wyjścia, Haki siedział już w innym miejscu - daleko na prawo od nas. Tajemniczo się uśmiechał. Podeszliśmy bliżej, a on powstał i otrzepał swój strój.

- Jest tu niedaleko szeroki strumień - ni to spytał, ni to orzekł.

- Aha, jest rzeka - potwierdził Dobromir, widać tutejszy.

- Jest bród przez wodę.

- Aha.

- Za nim zagajnik.

- To pogańskie miejsce - potwierdzono po chwili milczenia.

Haki z uśmiechem kiwnął głową. Bez dalszych słów ruszył za karcznię.

- A ślady? - zaproponował ktoś, wskazując trop wiodący w przeciwną stronę.

- Nie jestem tropicielem - usłyszeliśmy w odpowiedzi. - Jestem łowcą.

Szybko ruszyliśmy za Hakim, żeby nie rozdzieliły nas opary. Nakazał w marszu milczenie, zaś Dobromirowi dał prowadzić do owego gaju.

Bród nie przedstawiał się okazale. Był płytszy ledwie o stopę lub dwie od reszty koryta płynącej wody. Na drugim brzegu rosły wysokie, bujne drzewa.

- Gdzie jest polana? - spytał półgłosem Haki.

Przewodnik bez słowa wskazał przed siebie, za bród. Haki pokiwał głową, po czym wystawił nad głowę pośliniony palec. Już po chwili skradaliśmy się w górę rzeki, lawirując pomiędzy porastającymi brzeg krzakami.

Nie uszliśmy stu kroków, gdy Haki, spojrzawszy na rzekę, zarządził przeprawę. Koryto było tu szersze, dno piaszczyste, szerokie żółte łachy przecinały wąskie, rwące strumienie. Bez trudu przeskoczyliśmy je, suchą nogą wydostając się na drugi brzeg.

Zagłębiliśmy się w gaj, chcąc dojść pod wiatr na miejsce, gdzie według tutejszego była święta polana. Nie okazało się to trudne.

Pośrodku polany stał samotny, wiekowy dąb. Przywiązana doń Suzanna nie mogła ruszyć rękoma ni dać głosu. Kilka kroków przed nią stał jednooki, w wyciągniętej ręce trzymając gwiazdę. Kilka takich było już wbitych w drzewo, tuż obok głowy, ramion i krocza Suzanny.

- Nie drgnij, to nic się nie stanie - zaśmiał się blondyn. Gwiazda ze świstem wbiła się między nogami. Z pasa już wyciągał następną.

Haki nagłym gestem powstrzymał nas, chcących wybiec z ukrycia na ratunek. Wskazał na bok, gdzie na skraju polany przywiązane były konie. Tam też siedzieli dwaj pozostali, czekając w zasadzce na tych, co weszliby na świętą polanę ścieżką. Zrozumieliśmy.

Jednooki sięgnął ponownie do pasa, a nie znalazłszy kolejnej gwiazdy, podszedł do drzewa. Miał jednak wyrwać te, które już były wbite, począł obmacywać niższą o pół głowy Suzannę.

Dzida Hakiego z furkotem wbiła się tuż nad jego głowę, odcinając w locie kosmyk jasnych włosów. Odwróciwszy się, ujrzał naszego towarzysza stojącego na ugiętych nogach na skraju zagajnika. Haki miał już w ręku następną dzidę, gotową do rzutu.

- Nie drgnij, to nic się nie stanie - usłyszał.

Nie czekaliśmy dłużej. Z wrzaskiem rzuciliśmy się na pozostałych opryszków, kopniakami i ciosami pięści osłabiając ich wolę walki. Wkrótce związani, nie stawiali dalszego oporu.

Suzanna stała przed jednookim, rozcierając nadgarstki. Nie chciała, by go przywiązać do drzewa, trzymaliśmy go więc mocno. Odbierając od nas swój sprzęt, sięgnęła po nóż. Blondyn zbladł nieco, gdy skierowała ostrze poniżej pasa. Po nagłym cięciu opadło odzienie, odsłaniając całe przyrodzenie. Polaną wstrząsnął śmiech.

Pochwyciwszy łuk i strzały, Suzanna oddaliła się o kilkadziesiąt kroków. Nawet nie spojrzała w nasze zaskoczone oczy. Wycelowała w niebo.

- Nie drgnij, to nic się nie stanie - rzuciła drwiąco.

Puściła cięciwę i natychmiast odrzuciła łuk. Posuwistym ruchem sięgnęła do koszuli, rozciągając ją i dobywając na wierzch jasną pierś.

Zawrzało w naszych lędźwiach, ale jedynie u jednookiego w pełni widać było naturalną reakcję ciała. Wtedy jednak powracająca strzała, ledwie musnąwszy nos, trafiła w najbardziej wysunięty wprzód organ.

Wyrwał się nam, wrzeszcząc potężnie. Skuliwszy się na ziemi, począł wierzgać, rycząc i przeklinając.

- Przecie ostrzegałam - rzuciła Suzanna niewinnym głosem, poprawiając szaty.